Rok IV. — Tarnów, dnia 26 stycznia 1936 r. — Nr. 4.

KRÓLUJ NAM CHRYSTE!

Dodatek dla dzieci

Ostatni kolędnicy.



Jasno, gwarno na ulicy:
przyszli chłopcy kolędnicy
i przed chatą stoją oto
z przecudowną gwiazdą złotą!...

Skrzypły dźwierze, skrzypły wrota;
weszła najpierw gwiazda złota.
Długo w nockę, bez przechwałek,
brzmiała nuta pastorałek.

A odgońcież ich od płotka —
niechaj wejdą tu do środka,
niech zanucą sobie młodzi —
wszak to dzisiaj Bóg się rodzi!...

A za gwiazdą ci — z ulicy —
wiejscy chłopcy — kolędnicy!...
Aż ten srebrny dzwon z kapliczki
oderwał ich od kantyczki!...

E. K.

Trzy przecudne klejnoty.

(Legenda).

Kiedy się narodził w Betlejem Pan Jezus, wtenczas czterech mędrców ze Wschodu postanowiło oddać Mu hołd. Ale ten czwarty, nieznany mędrzec spóźnił się na oznaczone miejsce spotkania.

Więc tylko ci trzej: Kasper, Melchjor, Baltazar przybyli do Betlejem i złożyli Dzieciątku w ofierze: mirę, kadzidło i złoto.

Czwarty król wziął ze sobą trzy przecudne klejnoty: diament jasny, jak słońce, rubin czerwony, jak krew i szmaragd zielony, jak morze. I on spieszył, by się złączyć z trzema mędrcami, ale w drodze swej spotkał człowieka, którego zbójcy poranili i obrabowali. Zatrzymał się więc, opatrzył zranionego i pocieszył. Lecz ten narzekał: Cóż ja teraz pocznę! Zbójcy zabrali mi wszystko! Jestem żebrakiem! Wtenczas usłyszał mędrzec w sercu przesłodki głos proszący: **Oddaj mu jeden z klejnotów.** Usłuchał tego głosu. Wyjął diament jasny, jak słońce i ofiarował go biednemu. Odjechał..., a za nim szło dziękczynienie i błogosławieństwo obdarzonego.

Po wielu tygodniach ciężkiej podróży przybył czwarty mędrzec do Betlejem. Ale nie zastał już tam Bożego Dzieciątka. Miasto pełne było rzymskich żołnierzy, którzy z rozkazu króla Heroda zabijali wszystkie dzieci do lat dwóch. W całem miasteczku rozlegały się jęki i żałosne płacze matek. Przed jednym domem zobaczył mędrzec niewiastę, która na kolanach prosiła twardego żołnierza o litość. — Czemuż nie mam pieniędzy — rozpaczała. Może za złote skarby zostawiłbyś mi dziecię. Wtenczas czwarty mędrzec znowu usłyszał w swem sercu przesłodki głos: **Oddaj jej twój rubin.** Uczynił to natychmiast. Dziecię zostało ocalone.

Opuścił mędrzec Betlejem i udał się w dalszą drogę za niegasnącą gwiazdą, co go prowadziła przez dni i noce. Szedł tak przeszło lat trzydzieści. Był w Egipcie, w Nazarecie, w Galilei, ale nigdzie nie zastał Pana Jezusa. I wrócił utrudzony do Jerozolimy. Zapytał o Jezusa. Odpowiedział mu ktoś z zebranego, rozkrzyczanego tłumu: Pytasz o Króla Żydowskiego? Właśnie idziemy patrzeć, jak będzie konał na krzyżu. Rozpłakał się mędrzec i zawrócił. Nagle przez łzy zobaczył pięknego młodzieńca, który z rękoma skrępowanemi rzucił się do nóg mężczyźnie o twardej, złej twarzy i błagał go: Zlituj się nade mną, oddam ci dług, skoro tylko zdobędę pieniądze. Wtenczas mędrzec usłyszał po raz trzeci głos pełen słodyczy: **Oddaj mu twój szmaragd.** Oddał bez wahania i młodzieniec został uwolniony.

I skarżył się czwarty mędrzec przed Panem z żałością: Tyle lat szukałem Cię, Boże i napróżno... Nagle ziemia się zatrzęsła, zgasło słońce, runęły domy i mury. Oderwany kamień muru uderzył mędrca w głowę. Upadł na ziemię. — Umieram — wyszeptał — nie zobaczę już Jezusa. Nie mam dla Niego klejnotów. Lecz wtenczas stanęła przed jego oczyma śliczna postać. Wyciągnęła przebite ręce w stronę umierającego. I usłyszał on ten słodki, pełen dobroci głos:

Szukałeś Mnie, a Ja jestem zawsze z tobą A cokolwiek uczyniłeś najmniejszemu z braci Moich, Mnie to uczyniłeś.

* * *

Każdy człowiek - podobnie jak ów czwarty mędrzec — powinien oddać posiadane klejnoty: dobroć, zdolność, mądrość dla dobra drugich z myślą o Bogu i z miłości ku Niemu. r.

Babcia Indjanka.

W 16 wieku wyjechał O. Józef Anchieta do Brazylji, aby biednym ludożercom, Indjanom, zanieść światło i szczęście wiary w Pana Jezusa. Wchodził właśnie do wioski, w której rozlegał się głos bębnów i triumfujące okrzyki mieszkańców. Indjanie obchodzili uroczystość zwycięstwa nad sąsiedniem plemieniem. Biedni jeńcy, skazani na śmierć, stali przywiązani do drzew, a na wielkiej polanie tańczyli Indjanie wokół palących się ognisk. W kotłach gotowały się pod opieką starych Indjanek poćwiartowane ciała dwóch jeńców.

I w takiej chwili rozpoczął O. Anchieta kazanie. Mówił z siłą i oburzeniem o strasznej zbrodni zabijania ludzi i zjadania ich ciał, mówił ze słodyczą, a porywająco o Panu Jezusie, który przyniósł miłość na ziemię, mówił z wiarą wielką i przekonaniem — i zwyciężył. Jeńców puszczono na wolność, a ciała zamordowanych wyrzucono z kotłów i zakopano w ziemi.

Ojciec misjonarz pomagał w tem biednym poganom. Zbliżył się więc do jednego kotła. Oczy starej Indjanki spojrzały na niego nieufnie. Nie chciała oddać kawałków ciała ludzkiego. I znowu Ojciec Anchieta zaczął mówić do niej długo, a serdecznie i z miłością. Patrzyła mu w oczy przez cały czas i wkońcu zrozumiała. Bo od tych oczu młodego misjonarza szła jakaś moc nieznana, co kazała słuchać, jakiś ogień, co w sercach niewiernych zapalał wiarę. Oddała mu stara Indjanka kocioł z ofiarą i od tego czasu nie odstąpiła Ojca misjonarza. Ochrzcił ją i była najgorliwszą z jego nawróconych. Szła za nim wszędzie i posługiwała mu, ile jej tylko sił starczyło. Ukochała misjonarza całem sercem wiernem. Nazywał ją babcią, a ona mówiła mu: wnuczku.

* * *

Zmęczony całodzienną pracą wyszedł Ojciec misjonarz przed dom, by odetchnąć czystem powietrzem. Zapatrzył się w zachodzące słońce. Miał wielkie szczęście w duszy, choć matka i rodzina były tak od niego daleko... Ale życie całe oddał Chrystusowi i to mu szczęście dało. Kiedyś odejdzie od swoich Indjan tak, jak to zachodzące słońce. I choć nie wróci tak, jak ono, następnego dnia, jednak zostanie tu po nim siew wiary w Chrystusa i zwycięstwo nad ciemnotą i barbarzyńskiem zjadaniem ludzi.

Nagle usłyszał ciche westchnienie.

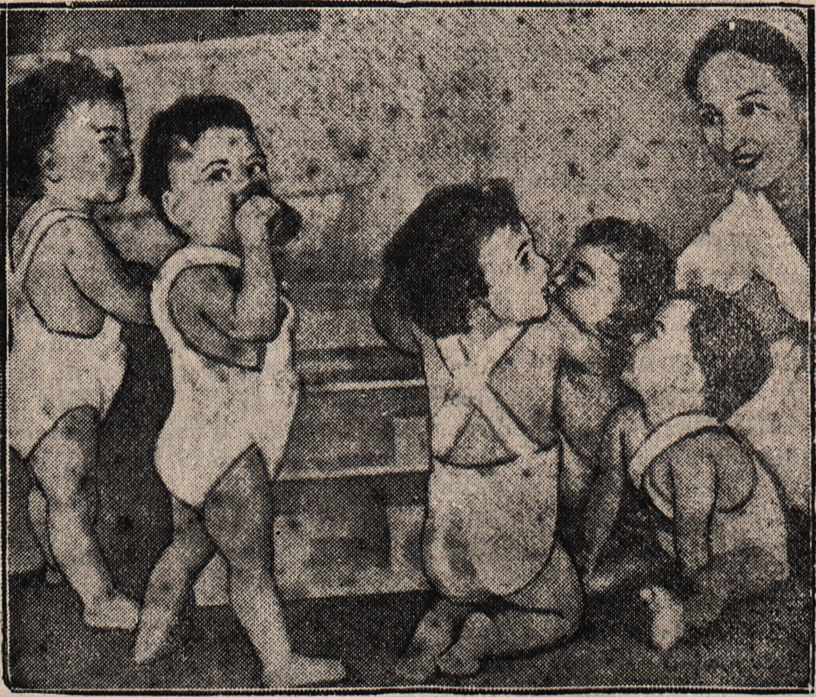
Oglądnął się.

— Babciu, to ty wzdychasz? Co ci dolega, moja babciu?

Pod ścianą domu siedziała stara Indjanka i szeptała coś bezzębnemi dziąsłami.

— Nic, wnuczku, nic.

— Możeś głodna, babciu albo chora?



Pewna kanadyjska rodzina szczyci się posiadaniem aż pięciorga bliźniaków, wszystkich zdrowych.

— Nie, wnuczusiu. Nie mogę jeść. Nic mi nie smakuje...

— To źle, babciu. Musisz jeść. Przyniosę ci cukru.

— Nie przynoś, wnuczku, nie będę jadła.

— Więc może miodu albo bułkę. Babciu, powiedz, na co masz ochotę, a zaraz ci przyniosę.

Stara Indjanka popatrzyła w serdeczne oczy misjonarza, westchnęła żałośnie i szepnęła cicho przez łzy:

— Jest, wnuczusiu, jedna rzecz, a którą mam ochotę.

— Powiedz, babciu.

Spojrzała jakby z lękiem w jego twarz, ale zachęcona życzliwem spojrzeniem wyszeptała: Mam ochotę na ramiączko niemowlęcia.. Żebym mogła possać kosteczki.

I zaraz poskarżyła się z ufnością:

— Wnuczku mój, ale ja już nie mam sił... i nie mam nikogo, ktoby mi zastrzelił z łuku jakie dziecko..

Ojciec misjonarz osłupiał.

Odpowiedzi Redakcji:

Zosia i Lidka B. ze Zbylitowskiej Góry: Dziękujemy za miłe liściki. Przyślijcie nam dokończenie opisu wycieczki do Częstochowy. Wierszyka nie zamieścimy. Napiszcie nam coś o waszej szkole.

Pozdrawiamy serdecznie.